

KRAINA POWIEŚCI

BEZPŁATNY DODATEK - WYCHODZI DWA RAZY W TYGODNIU.

Rok 2

CHOJNICE, dnia 11. IV. 1929.

Nr. 26

H. Rider Haggard.

Tylko sen

Ślady kroków... ślady kroków umarłej. Jakżeż niesamowicie wyglądają! Widzę je przed sobą w wielkiej sali... idę za nimi, patrząc na ich powstawanie. Zaznaczając się wyraźnie na marmurze...

Jak daleko sięgnę pamięcią w przeszłość, słyszę zawsze jej kroki... Dzwonią stale w mych uszach; dążę za nimi ustawicznie. Szaleje wicherze ludzkiej namiętności! Kroki zmarłe rozbrzmiewać będą zawsze, jak echo wspomnień; śladów ich nie pokryje błoto. Tego, co niezniszczalne, nie sposób zapomnieć.

Dziwne myśli przychodzą mi do głowy w tę noc przedślubną. Tak, to nie ulega wątpliwości... jutro mam się żenić. Widzę na długim stole przysłane nam podarunki, a raczej część ich... Rzecz znamienna, że wieść o dobrej „partji” budzi zawsze sumienie w szeregach ukrytych lub zapomnianych przyjaciół i skłania ich do składania dowodów pamięci. Inaczej było, pamiętam, kiedy miałem poślubić moją pierwszą żonę. Wtedy chodziło tylko o małżeństwo z miłości!

Stoją na stole — jak już wspomniałem — w rzędach, budzących szacunek i przywodzą na myśl piękne zdania o szlachetności ludzkiej, a przede wszystkim o szlachetności dalekich krewnych. Widok srebrnego imbryka na herbatę może rozrzewnić człowieka, wstępującego nazajutrz w małżeńskie związki. Jak często oglądać go będę w mojem życiu? Najprawdopodobniej każdego ranka... A obok niego stać będzie ten dzbanuszek na śmietankę, ta cukierniczka, pełna cukru, te piękne filiżanki... A w tyle, za stołem usiądzie moja druga żona.

— Czy chcesz jeszcze jedną filiżankę herbaty, kochanie? — zapyta i prawdopodobnie wypije jeszcze jedną filiżankę.

Ciekawe myśli przychodzą czasami do głowy człowiekowi. Niekiedy spada okrywająca go czarodziejska zasłona i z głębin jego duszy wylaniają się dziwne obrazy. Przychodzą zupełnie niespodziewanie i wówczas człowiek zaczyna się zastanawiać, w jakim celu żyje i kiedy nadejdzie kres jego żywota... Serce jego drży, jak liść osiki... Wszystkie rzeczy ziemskie wydają mu się dalekie, a wszystko nieuchwytnie bliskiem, groźnem, straszliwym... Nie może odróżnić prawdy od fałszu, nie może wskazać granicy między Życiem i Duszą. I wtedy rozlega się echo kroków, słysząc stapanie umarłych, widać ślady ich, ślady, których zatrząść nie sposób.

Piękne myśli przychodzą mi do głowy. Jest już godzina pierwsza. Czas udać się na spoczynek. Deszcze leje jak z cebra. Krople dżdżu siekają w szyby okien, a wicher wyje wśród brzoź na końcu ogrodowej aleji. Zrazu głos tych brzoź, jakby to

był głos najlepszego przyjaciela, Jakaż przykra noc; przeżywam czasem podobne w tej części Anglii, w październiku. W taką noc zmarła przed trzema laty moja pierwsza żona. Pamiętam jej słowa na łożu śmierci:

— Ah! Te straszne brzozy! Szkoda, żeś ich nie ścinał, Franku; płaczą, jak kobiety. — Odrzekłem, że zetnę je i zaraz potem biedactwo moje skonało. Brzozy pozostały... Lubię ich muzykę. Dziwnie się wszystko plecie. Byłem zupełnie złamany na duchu, gdyż kochałem ją gorąco, a i ona kochała mnie całą duszą, a teraz — mam się ożenić raz drugi.

— Franku, Franku, nie zapomnij o mnie! — To były ostatnie słowa mojej żony. I zaprawdę, nie zapomniałem jej, chociaż jutro żenię się poraz drugi. Nie zapomnę także, jak Hanka Gunthrie (którą mam teraz poślubić), przyszła do żony mojej w odwiedzinach przed jej śmiercią. Wiem, że Hanka lubiała mnie zawsze i sądzę, że droga moja żonka domyślała się tego. Ucałowawszy Hankę, pożegnała się z nią poraz ostatni, a kiedy ta wyszła, rzekła nagle: — To twoja przyszła żona, Franku; trzeba ci było nie mnie, ale ją poślubić; jest bardzo ładna, dobra i ma rocznych dochodów dwa tysiące funtów; ona nie umarłaby na gorączkę nerwową. — I uśmiechnawszy się, dodała:

— Ah, drogi Franku, ciekawa jestem, czy pomyślisz o mnie przed ślubem z Hanką Gunthrie. Ja będę o tobie myśleć napewno.

Stało się, jak przewidywała... Bóg wie, że myślałem o mojem biedactwie... Ah! Te ślady kroków umarłej, których nie można zatrząść, to echo jej stapania po marmurowej posadzce, które rozbrzmiewa w uszach moich. Wielu z nas słyszało i widziało je kiedyś w życiu, a ja widzę i słyszę je tej nocy. Biedna, zmarła żono moja, czy spoglądasz dziś na mnie przez szczeliny drzwi, pragnąc wślizgnąć się do środka? Chyba nie... Śmierć musiałaby być piekłem, gdyby zmarli widzieli, czuli i byli świadkami wiarołomstwa ukochanych osób. Tak, pójdę spać; spróbuje spocząć. Nie jestem już ani tak młody, ani tak silny, męczy mnie. Chciałbym, aby już było po wszystkim...

Co to było? Chyba nie wicher i nie deszcz, ani wycie psa... Brzmiało to jak płacz kobiety... Ale cóżby robiła kobieta na deszczu, w nocy, o takiej godzinie — jest już przecież wpół do pierwszej.

Znowu — słyszę znowu; głos ten przyprawia mnie o dreszcz strachu, a jednak wydaje mi się znajomy. To głos kobiety, która chce się dostać do domu. Jest teraz przy oknie, dobija się do niego i — Wielkie Nieba! — woła na mnie po imieniu:

— Franku! Franku! Franku!

Spieszę do okna, aby je otworzyć, ale już puka i woła na mnie przy drugim:

— Franku! Franku!

Odeszła znowu, zawodząc głośnie: Słyszę ją teraz przy drzwiach frontowych i jak szalony, biegnę przez długą i ciemną sień, aby je otworzyć.



Nie ma nikogo — tylko wicher wyje i deszcz plu-
szcze w ogrodzie. Słyszę jednak płacz gdzieś koło
domu, poza krzakami. Zamykam drzwi i nadślu-
chuję. Tak, przeszła przez dziedziniec i jest teraz
przy wejściu w tyle domu. Musi znać rozkład
mieszkania. Mijam się i przez pokój dla służby
dostaję się do kuchni, tonącej w gęstym mroku z
wyjątkiem paleniska, na którym tli się jeszcze o-
gień.

Ktoś puka do drzwi, puka zcicha, ale echo te-
go pukania rozbrzmiewa — rzecz dziwna — do-
nośnie w pustej kuchni.

Stałem przy drzwiach, drząc na całym ciele i
namyślałem się przez chwilę, nie śmiejąc ich o-
tworzyć. Czulem się zupełnie opuszczony. Dozna-
wałem wrażenia, że poza mną niema na ziemi ży-
wej duszy.

— Franku! Franku! — zawołał głos dziwnie
mi znajomy. — Otwórz drzwi; zimno mi. Mam tak
mało czasu.

Serce przestało mi bić w piersiach, ale wy-
ciągałem ręce, aby wykonać rozkaz. Powoli, powo-
li, odsunąłem rygle i otworzyłem drzwi. Prąd po-
wietrza wyrwał mi je z ręki i rozwarł szeroko.
Czarne chmury w górze rozstąpiły się na chwilę,
odslaniając skrawek błękitnego, czystego nieba z
błyszczącymi na nim dwiema gwiazdami. Zrazu
widziałem tylko ten skrawek nieba, ale stopniowo
rozpoznałem sylwetki kołyszących się potęż-
nych drzew i linię otaczającego je w dole ogro-
dowego muru. Potem spadł mi na twarz liść zesch-
nięty... Instynktownie spuściłem oczy i ujrzałem
coś drobnego, czarnego i zmoczonego deszczem.

— Czem jesteś? — szepnąłem. — Doznawałem
wrażenia, że nie była to osoba i dlatego nie no-
głem zapytać: Kim jesteś?

— Nie poznajesz mnie? — zalił się głos dzi-
wnie mi znajomy. — Niestety nie mogę wejść...
nie mam czasu. — Otwierałeś drzwi tak długo,
Franku i jest mi tak zimno — oh, tak zimno! Po-
patrz, księżyc wychyla się z poza chmur... Bę-
dziesz mnie mógł zobaczyć. Przypuszczam, że tę-
skniłeś za mną, jak i ja tęskniłam.

W tej chwili promienie księżyca przedarły
się przez mgłę i padły na skarzającą się postać. Była
to postać drobnej szczupłej kobiety przybrana w
czarne szaty, z głową osłoniętą czarnym welonem.
Z sukni jej i welonu spływała woda.

Postać trzymała na lewej ręce mały koszyk —
a dłoń jej — biedna, drobna, biała dłoń — jaśnia-
ła w świetle księżyca. Zauważyłem na trzecim pal-
cu czerwoną linię w miejscu, gdzie dawniej znaj-
dowała się śliczna obrączka. Druga ręka wycią-
gnięta była ku mnie, jakby z błagalnym gestem.

Wszystko to ujrzałem w jednej chwili i zgro-
za chwyciła mnie za gardło, na podobieństwo ży-
wej istoty, gdyż poznałem nie tylko głos ale i
kształty, chociaż pochłonięty cmentarz już trzy la-
ta temu. Nie mogłem mówić, nie mogłem się na-
wet poruszać.

— Oh, jeszcze mnie nie poznajesz? skarżył
się głos; a ja przybyłam z tak daleka, aby cię tyl-
ko zobaczyć i nie mogę dłużej pozostać. Popatrz
— i zaczęła szarpać drobnymi palcami czarny wel-
on, który ją osłaniał. Wkońcu zasłona opadła
i jak we śnie ujrzałem... bladą twarz i jasne wło-
sy mojej zmarłej żony. Wpatrywałem się w nią,
nie mogąc przemówić ani poruszyć się. — Tak, to
była ona, taką, jaką ją widziałem poraz ostatni
bladą bladością śmierci, z czerwonymi obwódka-
mi koło oczu i całunem pod brodą. Tylko oczy jej,

wpatrzone we mnie, były szeroko otwarte, a jasne
miękkie włosy igrały na wietrze.

— Poznajesz mnie teraz. Franku, nieprawdaż?
Tyle trudu kosztował mnie ten wysiłek, ale chcia-
łam cię zobaczyć. Żenisz się jutro, a ja przyrze-
kłam — oh, dawno temu — że pomyślę o tobie,
kiedy się bedziesz żenił i dotrzymałam obietnicy.
Przybyłam z daleka i przyniosłam ci prezent. Stra-
szna to rzecz, umrzeć młodo! i pozostawiłam cię
samego... Ale muszę odejść. Weź to — weź! Po-
spiesz się, nie mogę zostać dłużej. Nie mogłam dać
ci mego życia, Franku, przyniosłam ci zatem
śmierć moją — weź ją!

— Muszę odejść muszę — skarżył się, płacząc
znany mi głos. — Oh, czemu tak długo otwierałeś
drzwi. Chciałam z tobą pomówić, zanim poślubisz
Hankę; a teraz nie zobaczę się z tobą już — nigdy!
nigdy! nigdy! Straciłam cię na zawsze! na zaw-
sze!

Zaledwie przebrzmiały te żalosne słowa, zerwał
się wicher i podmuch, jakby tysiące skrzydeł,
pchnął mnie do wnętrza domu, zatrzaskając za
mną drzwi.

Zawlokłem się do kuchni z koszykiem w ręku
i postawiłem go na stole. Tłący się ogień buchnął
żywszym płomieniem oświetlając białe talerze w
kredensie i cienki świecznik, obok którego leżało
pudełko zapalek. Byłem nawpół przytomny z trwo-
gi przed ciemnością. Chwyciłem zapalki, zapali-
łem jedną z nich i zbliżyłem ją do świecy. Zrobiło
się jasno... spojrzałem dokoła. W kuchni nie było
nikogo. Zegar, wiszący ponad kominkiem, wybił
w tej chwili drugą... Dźwięk jego wydał mi się
szczególnie miły.

Potem spojrzałem na koszyk. Był bardzo zgra-
bny, ładnie wykonany i miał czarno - białą rącz-
kę. Poznałem go od pierwszego wejrzenia. Nigdy
nie widziałem podobnego. Kupiłem go przed laty
na Maderze i dałem w podarunku mojej biednej
żonie. Później porwała go fala, w czasie przejazdu
przez Kanał Irlandzki. Przypominam sobie, że
był pełen gazet i książek. Wiele lat upłynęło od
chwili, kiedy widziałem go na tym samym kuchen-
nym stole po raz ostatni, gdyż droga żona moja
nosiła w nim często kwiaty, przedewszystkiem
zaś róże, które rosły pod oknami kuchni. Ilekroć
napelniła koszyk kwiatami, wchodziła do kuchni
i postawiwszy go na stole, na którym go ja teraz
postawiłem, wydawała rozporządzenia kucharce.

Przypomniałem sobie to wszystko, stojąc tak
ze świecą w ręku, nawpół żywy, dręczony przykre-
mi myślami. — Czyżby to był sen? Nie, to niepo-
dobieństwo. W tej chwili właśnie przebiegła mysz
po kredensie i zeskoczyła na podłogę.

Cy było w koszyku? Bałem się zaglądać do
niego, a jednak jakaś siła zmusiła mnie, abym to
uczynił. Podeszedłem do stołu i przysłuchiwałem
się przez chwilę biciu własnego serca. Potem wy-
ciągnąłem rękę i z wolna podniosłem pokrywę ko-
szyka.

— Nie mogłam dać ci mego życia, przynio-
słam ci zatem moją śmierć! — Tak brzmiały jej
słowa, co miały oznaczać — co miało oznaczać to
wszystko? Czulem, że oszaleję, jeśli się nie do-
wiem. W koszyku znajdował się jakiś zawinięty
w płótno przedmiot.

Wielkie Nieba! To była drobna - biała czasz-
ka ludzka!

Sen! Mimo wszystko, to tylko sen przy ko-
minku, ale jaki przykry. A ja mam się jutro żenić.
Czyż mogę się żenić?

Czarcie wzgórze

9)

— Miej się pan na ostrożności, łaskawy panie, i ostrzeż tę panią żeby nie krzyczała.

— To Sinobroda... Ona będzie krzyczała i zgubi mnie — pomyślał de Croustillac.

Lecz ku najwyższemu jego zdumieniu Angeli ka zatrzymała się bez słowa.

Gaskończyk zawołał:

— Kto się zbliża?

— Łaskawy pan nie poznaje Miretty? — spytała Sinobroda.

De Croustillac był zdumiony, lecz milczał.

— Kto jest ta kobieta? — szeptem spytał pułkownik.

— To pokojówka mej małżonki.

— Chciałam wielmożnemu panu oznajmić, że madame jest trochę cierpiąca, więc śpi obecnie.

Angelika zbliżyła się lecz nagle cofnęła się z przestachem i zawołała:

— Ach, mój Boże, Wasza Wysokość nie jest sam!

— Nie obawiaj się, Miretto, ten pan przybył z Fortu Royal w pilnych sprawach, więc muszę natychmiast wyjechać.

W tej chwili zbudzę panią.

— Nie, zabraniam ci! Trzeba mi łodzi oraz murzynów, zanieść im ten rozkaz.

— To nic trudnego, jutro jest połów ryb, więc murzyni tak czy owak muszą być obecnie gotowi do drogi.

— Jak chętnie Sinobroda zgadza się na wszystko — pomyślał de Croustillac, a głośno rzekł:

— Miretto, każ otworzyć zewnętrzną bramę i powiedz murzynom jaki wydałem rozkaz!

— Lecz cóż mam powiedzieć mojej pani? — spytała Miretta.

— Powiedz jej, aby się wcale nie niepokoiła. Wybieram się w tę podróż w jej własnej sprawie, więc niech czasem myśli o mnie.

— Ach, madame będzie ciągle o panu myślała! — rzekła żywo Miretta. — Pozwól pan, że mu przyniosę szpadę i płaszcz sukienny.

W okamgnieniu przyniosła Angelika wspaniałą szpadę i płaszcz z doskonałego sukna.

— Rozumien — pomyślał de Croustillac — Sinobroda stroi mnie, jak księcia, aby umocnić jeszcze w błędzie tego niedźwiedzia. Lecz niech wszystko idzie, jak Bóg chce, jeśli tylko małżonek Sinobrodej jest bezpieczny.

W tym momencie Angelika zbliżyła się do Gaskończyka i rzekła:

— Wielmożny panie murzyni są już gotowi i stoją na zewnątrz z latarniami okrętowymi, aby panu poświecić w drodze.

Ukradkiem uściśnęła mu dłoń i szepnęła:

— Po moim mężu pana kocham najbardziej na świecie, gdyż pan jesteś moim wybawcą.

— W chwilę potem ciężkie bramy zatrzasknęły się za Gaskończykiem i pułkownikiem, którzy ruszyli w drogę pod przewodnictwem murzynów...

W tajnej komnacie Sinobrodej siedział jakiś wytworny mężczyzna w jedwabnym stroju i czytał angielską gazetę. Był to książę Monmouth, mąż Angeliki. Jeśli mu się baczniej przypatrzymy dojdziemy do przekonania, że Flibustjer, Karaib i Bukanier są jedną i tą samą osobą.

Nagle z trzaskiem otworzyły się drzwi i Angelika rzuciła się księciu na szyję z okrzykiem:

— Uratowany! uratowany!

Plakała i śmiała się naprzemian, całowała dlonie małżonka, jego skronie i oczy, przyczem powtarzała:

— Uratowany mój najukochańszy Jakób! Żadne niebezpieczeństwo już ci nie grozi, mój najdroższy! Lecz cóż ja wycierpiałam!

Książę Monmouth spytał niespokojnie:

— Moje dziecko, co to wszystko znaczy?

Angelika, nie odpowiadając na to pytanie, zawołała:

— Nie dość na tem, musisz uciekać jak najprędzej, król angielski jest na twoim tropie!

ROZDZIAŁ XX.

Zdrada.

Książę Monmouth nie wierzył swoim uszom.

— Co mówisz? — zawołał. — Król Wilhelm zna moją kryjówkę?

Angelika opowiedziała księciu przebieg całego wydarzenia. Oznajmiła, że emisariusz Wilhelma nazwał Gaskończyka mylordem, na co tenże się zgodził po bohatersku, i grał rolę księcia, choć go uratować.

Po chwili milczenia książę rzekł:

— Dzięki tobie i temu dzielnemu Gaskończykowi tym razem burza szczęśliwie nas minęła. Postaram się go hojnie za to wynagrodzić.

— Mój przyjacielu, nie wiem, kiedy de Croustillac wróci. Prawdopodobnie nie sprostuje błędnego mniemania naszych wrogów tak długo, do póki my nie umknijemy stąd.

— A więc niema go tutaj?

— Nie, mój przyjacielu, dał się uprowadzić jako jeniec pod twoim nazwiskiem.

Książę nie wierzył wprost swoim uszom.

— Jaktó?! Dał się uprowadzić pod moim nazwiskiem?! — zawołał. — Ten emisariusz zamorduje go, skoro pozna swój błąd! Na to nie mogę pozwolić! Muszę natychmiast ruszyć w pościg za nimi!

— Jakóbie, zaklinam cię, nie narażaj się na niebezpieczeństwo!

— Ściągać ich będzie nie Jakób de Monmouth, lecz Flibustjer Ouragan!

To rzekłszy, książę udał się do przyległego pokoju, aby się przebrać.

Angelika pozostawszy sama, pograżyła się w czarnych myślach.

Nagle usłyszała gwałtowne pukanie do zewnętrznych drzwi swego domu. Weszła Miretta z przeziętą miną i oznajmiła Angelice, że O. Griffon usilnie prosi o wpuszczenie, ponieważ przynosi wieści ogromnej wagi. Angelika wydała rozkaz, aby duchownego natychmiast zaprowadzono do salonu. W tym samym momencie wyszedł ze swego gabinetu książę, przebrany za Ouragana. Przebranie było tak doskonałe, że niepodobna go było poznać.

— Mój przyjacielu — rzekła Angelika — O. Griffon przynosi ważne wiadomości, idź z nim pomówić!

Książę udał się z Angeliką do salonu, gdzie czekał O. Griffon, blady, wzburzony i wyczerpany.

— Za kwadrans będą tutaj! — zawołał duchowny

— Kto ojciec? — spytał ks. Monmouth.

— Ten nędzny Gaskończyk!

— Ach! Jakóbie, wszystko odkryte! — rzekła Angelika rzucając się w ramiona męża. — Uciekajmy, jeszcze jest czas!

Uciekać? Ale jak? z Czarciego Wzgórza prowadzi tylko jedna droga! Powiadam wam, następują mi na pięty, — odparł misjonarz. — Lecz przedewszystkiem spokoju, jeszcze nie wszystko stracone!

— Wytlumacz się jaśniej, mój ojczu! — prosiła Angelika. — Co właściwie się dzieje? Proszę cię, mów?

— Ten Gaskończyk jest nędznikiem, jest zdrajcą! Przebac mi. Boże, że się tak na nim zawiodłem!

— Przeciwnie to najszlachetniejszy człowiek pod słońcem! On się poświęcił dla mego męża!

— Tak, przjął pańskie nazwisko — rzekł misjonarz — ale wiesz pan w jakim haniebnym celu?

— O mów, księże proboszczu, umieram z trwogi! — prosiła Angelika.

— A więc posłuchajcie mnie — mówił kapłan — gdyż niebezpieczeństwo zbliża się coraz bardziej. Dziś rano otrzymałem list od pana Morrisa, którego prosiłem, aby mi donosił o każdym niezwykłym wypadku... W liście tym powiadomił mnie, że francuska fregata zarzuciła kotwicę i wysłała jakiegoś nieznanego człowieka do gubernatora. Ów przybysz po rozmowie z gubernatorem wyruszył na czele zbrojnego oddziału na Czarcie Wzgórze... Niebawem tu będzie!

— Boże mój, Boże, zmiłuj się nad nami! — zawołała Angelika.

— Słuchajcie! Wybrałem się natychmiast w drogę — mówił dalej. O. Griffon — aby was ostrzec, gdyż miałem nadzieję, że tu przybędę, zanim ów człowiek się zjawi. Na szczęście dopędziłem go u stóp wzgórza. Ponieważ poznał mnie po mojem odzieniu, więc mi oznajmił, że jest posłem króla Francji i poprosił mnie, abym go tu zaprowadził, gdyż znam mieszkańców tego domu. Nie mogłem mu odmówić, gdyż nie chciałem w nim budzić podjężeń, więc pozostałem przy nim. Wymienił mi swoje nazwisko i postawił mi kilka pytań, dotyczących pana i pańskiej małżonki. Nagle — słyszeliśmy donośny głos: „Kto tu?” — „Poseł króla Francji” — odparł pan de Chemeraut. „Zdrada!” — ryknął jakiś głos i o nasze uszy obił się głuchy jęk wraz ze słowem: „Umieram!”

— Do broni! — krzyknął pan de Chemeraut, chwytając za rękojeść szpady, i pobiegł za dwoma marynarzami, którzy stanowili naszą przednią straż. Podążyłem za nim. Ujrzelśmy Gaskończyka, leżącego po jednej stronie drogi. Czterej murzyni, drżąc z trwogi, runęli na kolana, gdy tymczasem dwaj marynarze, stanowiący naszą przednią straż, obalili na ziemię jakiegoś silnego mężczyznę w marynarskim stroju.

— Więc nasz Gaskończyk był ranny? — spytał książe Monmouth.

— Nie Wasza Wysokość. Ów człowiek w marynarskim stroju był pewny, że go zdradzono, gdy usłyszał odgłos kroków naszego oddziału i słowa pana de Chemeraut. W jednej chwili pchnął Gaskończyka z taką siłą, że byłby zginął, gdyby ostrze nie pękło na pendencie. Niemniej jednak przewrócił się wskutek olbrzymiej siły uderzenia, a padając, zawołał: „Umieram!” i przez kilka chwil leżał bez ruchu. W tym momencie zbliżyliśmy się wraz z oddziałem. Morderca Gaskończyka, spostrzegłszy nas, zawołał z dzikim śmiechem: „Panie pośle, przeniknąłem i uniemożliwiłem pańskie zamiary! Szukałeś pan tutaj Jakóba, księcia Monmouth, aby zeń uczynić narzędzie buntu, a teraz możesz pan tylko trupa wziąć

w posiadanie, mój panie! Ja, Rutler, pułkownik w służbie króla Wilhelma, dokonałem tego mordu!” — „Nieszczęsny! — zawołał pan de Chemeraut. — „Ja się szczerzę tem morderstwem!” — odparł pułkownik. — „Do dwudziestu czterech godzin będziesz pan rozstrzelany, panie pułkowniku — rzekł pan de Chemeraut. — „Wiem co mnie czeka!” — odparł pułkownik.

— A co się stało z Gaskończykiem? — spytał książe.

— Gdy usłyszał słowa pułkownika Rutlera, poruszył się i jęknął. Żołnierze skrepowali pułkownika i zakneblowali mu usta, pan de Chemeraut zaś tymczasem zbliżył się do Gaskończyka i spytał: „Łaskawy panie, jesteś pan ciężko ranny? Pojąłem natychmiast, że Gaskończyk grał pańską rolę i przywłaszczył sobie pańskie nazwisko.”

— Cios ześliznął się po pendencie mego ojca — rzekł Gaskończyk słabym głosem, gdy go podnoszono z ziemi. — „Mylordzie — książe, oprzyj się pan na mnie” — odparł pan de Chemeraut. Po krótkiej rozmowie Gaskończyk rzekł: „Jeśli tak mój panie, w takim razie nie mogę odłączyć się od mej małżonki... Przedewszystkiem życzę sobie wywieźć ją z Czarciego Wzgórza, aby mi towarzyszyła w czasie morskiej żeglugi.

— Nędznik! — krzyknęła Angelika.

O. Grifon opowiadał w dalszym ciągu.

— „Czuje się ogłuszony upadkiem, muszę odpocząć w moim domu” — rzekł Gaskończyk, a pan de Chemeraut zwrócił się do mnie ze słowami: „Mój ojczu, bądź tak dobry i oznajmij księżnej Monmouth, że Jego Wysokość zaraz wraca, aby ją wywieźć z tej miejscowości. Niechże więc przygotuje się jak najspieszniej, gdyż o świcie musimy być w Fort Royal.”

— Pojmujesz więc pan zamiary tego zdrajcy? — spytał O. Griffon księcia Monmouth. — Pragnie nadużyć przybranego nazwiska, aby porwać pańską małżonkę. A w takim wypadku musisz pan albo wyjaśnić, kto pan jesteście, albo zgodzić się na wyjazd księżnej.

— Wolę raczej umrzeć! — krzyknęła Angelika.

ROZDZIAŁ XXI.

Wicekról Szkocji i Irlandji.

Wróćmy do Gaskończyka, który opierając się o ramię pana de Chemeraut, pnie się z wysiłkiem po stromych zboczach Czarciego Wzgórza. Dwaj żołnierze z eskorty prowadzą i pilnują pułkownika Rutlera, zżymającego się z powodu niepowodzenia jego usiłowań. Pan de Chemeraut nie znał Gaskończyka, więc słowa pułkownika Rutlera uzmocniły go w mniemaniu, że de Croustillac jest identyczny z księciem Monmouth. Przy pułkowniku znaleziono rozkaz, napisany własnoręcznie przez Wilhelma Orańskiego, a dotyczący uprowadzenia Jakóba księcia Monmouth; ta okoliczność była powodem, że pan de Chemeraut nie miał już żadnej wątpliwości co do osoby Gaskończyka. Gdy ten ostatni spostrzegł jaki zwrot bierze cała przygoda, starał się wszystkimi sposobami podtrzymać nadal złudzenie i pomyłkę. Znał wprawdzie nazwisko osoby, którą reprezentował, jakiej jest narodowości, lecz wiadomość ta nie przyniosła mu żadnej korzyści, gdyż cała historia była mu całkowicie nieznana. Przedewszystkiem starał się swej mowie nadać angielski akcent, stosownie do swej roli, skutkiem czego pan de Chemeraut w każdym razie nie mógł go uważać za Francuza.

Drukiem i nakładem drukarni „Dziennika Pomorskiego” w Chojnicach.